

NR INDEKSU 374776

PL. ISSN 0137-8287

rodzina

NR 11
(1682)
2003

MIESIĘCZNIK KATOLICKI ● LISTOPAD ● CENA 2 ZŁ



Jeśli kto chce być pierwszym, niech będzie ostatnim

„Po wyjściu stamtąd podróżowali przez Galileję, On jednak nie chciał, żeby kto wiedział o tym. Puczał bowiem swoich uczniów i mówił im: *Syn Człowieczy będzie wydany w ręce ludzi. Ci Go zabiją, lecz zabity po trzech dniach zmartwychwstanie.* Oni jednak nie rozumieli tych słów, a bali się Go pytać. Tak przyszli do Kafarnaum. Gdy był w domu, zapytał ich: *O czym to rozprawialiście w drodze? Lecz oni milczeli, w drodze bowiem posprzeczali się między sobą o to, kto z nich jest największy. On usiadł, przywołał Dwunastu i rzekł do nich: *Jeśli kto zechce być pierwszym, niech będzie ostatnim ze wszystkich i sługą wszystkich!* Potem wziął dziecko, postawił je przed nimi i objąwszy je ramionami, rzekł do nich: *Kto przyjmuje jedno z tych dzieci w imię moje, Mnie przyjmuje; a kto Mnie przyjmuje, nie przyjmuje Mnie, lecz Tego, który Mnie posłał:* (Mk 9, 30-37).*

Dzisiaj przyjrzymy się życiu Apostołów, którzy idą za swym Nauczycielem, słuchają Jego słów, a On im je wyjaśnia. W każdej grupie jest tak, że są w niej różne funkcje, różne obowiązki, a wielu pragnie być „pierwszymi”. Pod tym względem Apostołowie zachowywali się podobnie; prowadzili spory, a nawet kłócili się, kto z nich jest najważniejszy. Widzieli się ministrami przyszłego Mesjasza, przyszłego Króla. Ta rywalizacja rzucała cień na ich umysły i serca. Gdy Jezus zapytał ich, co jest przedmiotem sporu, zawstydzeni milczą. Ale Jezus przenika ich myśli i zdecydowanie powiada: *Jeśli kto chce być pierwszym, niech będzie ostatnim ze wszystkich i sługą wszystkich!*

Tutaj wyraźnie widzimy, jak Jezus nobilituje funkcję służebną. W dzisiejszym świecie tak bardzo liczą się ludzie potrzebni innym, niosący dobroć, służebność, ludzie pokorni i kochani. Przecież „minister” to nic innego jak „sługa”. A co powiedział o sobie nasz Mistrz, Jezus Chrystus: „przyszedłem służyć”. I spełnił Jezus w najdoskonalszy sposób swą funkcję służebną, gdy oddał swe życie „na okup za wielu”.

Nie można troszczyć się tylko o siebie, i zajmować się wyłącznie sobą, a jednocześnie dawać siebie innym. To rodzi się w sercu, gdyż z głębi serca wypływa wszelkie dobro i zło. A co my wybierzemy? Czy szala dobroci i miłości przeważa? — to już będzie zależeć od nas. Służyć, dawać siebie, swoje życie innym, to staje się ważne przede wszystkim dzisiaj, gdy ludzie tak często nie zauważają innych, gdy nie mają czasu dla drugich. A przecież widzimy, że wielu ludzi oczekuje na dobre słowo, na uśmiech, na pomocną dłoń. Pomagając drugiemu, stajemy się potrzebni, wstępujemy na drogę, na której zaczynamy dostrzegać sens naszego życia, a może nawet i radość życia.

Jeśli służąc drugiemu, damy im siebie, możemy stać się „ministrami” i najwierniejszymi uczniami Tego, który jest prawdziwie Pierwszym. Dla nas, chrześcijan, powinno być jasne, dlaczego Chrystus jest pierwszym spośród ludzi, a Jego rola najbardziej znacząca w dziejach ludzkości. Jest pierwszym dzięki swej niezrównanej ofierze, z której korzysta cały świat. Wówczas na krzyżu w oczach wielu uchodził za ostatniego, lecz w gruncie rzeczy był Pierwszym i świat w końcu uznał Jego pierwszeństwo. A więc człowiek staje się pierwszym przez wielkość swej ofiary, służąc bliźnim.

Uczestnicząc w Eucharystii, nie zapominajmy o Tym, który dla nas ofiarowuje się bez reszty, który „do końca nas umiłował”. Naśladujmy naszego Pana, Jezusa Chrystusa, stańmy się jakby chlebem dla drugiego człowieka.

Ks. B.S.

NASZA OKŁADKA:

Złożenie do grobu — mal. F. Bassano (XVI w.)



„Ecce Homo” („Oto Człowiek”)

Adventus Domini - Przyjście Pana

Mieszkańcy wybrzeża Morza Północnego opowiadają wzruszającą historię. Pewien rybak wraz z synami wyruszył wczesnym rankiem na połów ryb. W stojącym nad brzegiem morza domu pozostała żona. Kiedy minęło południe, zabrała się do przygotowania ciepłej stawy, aby zziębniętych i głodnych posilić, gdy wrócą do domu po ciężkiej pracy. Tymczasem wieczorem, kiedy nadszedł czas powrotu bliskich, na morzu rozszalała się straszliwa burza i nieprzeniknione ciemności okryły wszystko. Zrozpaczona kobieta na próżno wypatrywała męża i dzieci. Do głowy cisnęły się jej najstraszniejsze myśli. Pewnie błądzą wśród rozszalałych fal i nie mogą trafić do domu. I wtedy, dla ratowania swoich najbliższych — decyduje się na desperacki krok. Podpala dom, będący jedynym majątkiem jej i całej rodziny. Płomień buchnął wysoko, a zbłąkani wędrowcy, widząc ogień, zorientowali się, w którą mają płynąć stronę i szczęśliwie dotarli do brzegu. Byli uratowani.

Takimi zbłąkanymi wędrowcami po wzburzonym oceanie życia byli kiedyś ludzie po upadku pierwszych rodziców. Miotani falami namiętności, pogrążeni w ciemnościach błędów, przez wiele lat tysięcy tęsknili do Stwórcy, nie mogąc do Niego trafić. I wtedy na brzegu zjawiała się Niewiasta, która zapaliła ludziom ogromne światło ukazujące im drogę do Boga. Jak wiemy z nauki wiary, była nią Najświętsza Maryja Panna.

Pamiętką tego wyczekiwania na przyjście Zbawiciela jest Adwent (nazwa ta pochodzi od łacińskiego *Adventus Domini* — przyjście Pana; po grecku „*Parusia*”), będący nazwą okresu liturgicznego poprzedzającego uroczystość Bożego Narodzenia. W liturgii adwentowej często przewijają się postacie proroka Izajasza oraz Jana Chrzciciela. Ma to swoje uzasadnienie. Pierwszy z nich, pisząc: „Oto Panna pocznie i porodzi Syna, i nazwie Go imieniem Emanuel” (Iz 7, 14) przepowiada wyraźnie, że Odkupiciel świata narodzi się z Dziewicy. Według zaś powszechnie przyjętego tłumaczenia przytoczonego tekstu Izajasza, owa

„Panna” jest Maryja. Drugi zaś — zwany słusznie „heroldem Pańskim” — przygotował serca ludzkie na przyjęcie obiecanego Mesjasza, wołając do słuchającego go ludu: „Gotujcie drogę Pańską, prostujcie ścieżki Jego” (Łk 3, 4).

Nad całym Adwentem góruje jednak bezprzecznie postać Najświętszej Maryi Panny, jako Tej, która przyniosła światu oczekiwanego Zbawiciela. Już w pierwszych wiekach chrześcijaństwa — w pierwszej niedzielę Adwentu — odprawiano w Rzymie uroczystą Mszę św. w bazylice Najświętszej Maryi Panny Większej. Warto tutaj przypomnieć, że wspaniała świątynia wzniesiona została po soborze w Efezie (431), ku czci Maryi jako Matki Syna Bożego.

Pięknym wyrazem ludowej pobożności Maryjnej są tzw. Godzinki do Najświętszej Maryi Panny. W okresie Adwentowym śpiewano je jeszcze stosunkowo niedawno, w całym naszym kraju, zwłaszcza na wsiach. Również w kościołach, przed Roratami, przez cały Adwent. Wymownym świadectwem czci dla Bogarodzicy są na pewno polskie pieśni adwentowe, liczące niekiedy po kilkaset lat. Teksty wielu z nich wspominają o fakcie Zwiastowania, oddają cześć Maryi jako Matce Bożej oraz podkreślają Jej rolę w dziele Odkupienia ludzi.

Najpiękniejszym jednak wyrazem hołdu dla Matki Zbawiciela są — odrawiane od wieków — tradycyjne Roraty. Wiele osób wspomina te lata, kiedy przed świtem budziła ich matka, by zabrać ich ze sobą na Roraty. A potem, nie bacząc na wczesną porę i znaczną nieraz odległość, szli razem do parafialnej świątyni. Tutaj, przy rozjarzonym blaskiem świec ołtarzu, odprawiał kapłan Mszę św. roratnią. A pod stropy świątyni płynął śpiew wernego ludu, który w ten sposób dziękował Bogu za tajemnicę Wcielenia oraz oddawał cześć Matce Bożej.

Początek Mszy św. roratniej datą tzw. „*Missa aurea*” — „Msza złota”, którą odprawiano na Zachodzie w środę po trzeciej niedziel

Adwentu, dla uczczenia tajemnicy Wcielenia Syna Bożego. W Polsce odprawiana była w pierwszej połowie XIII wieku. W ten sposób powstały bardzo popularne u nas Roraty.

Sama nazwa tej Mszy św. wywodzi się od słów Izajasza proroka — czytanych we „wstępie” do liturgii mszalnej, które w jęz. łacińskim brzmią: „*Rorate coeli...*” — co znaczy: — „Niebiosa spuście rosę...”. Odprawiana jest ona zwykle przed świtem, kiedy jeszcze ciemności nocy okrywają ziemię. Symbolizują one świat pogrążony w mrokach pogaństwa przed przyjściem Mesjasza, który dopiero „jest światłością świata” (J 6, 12).

Podczas odprawiania tej Mszy św. płonie na ołtarzu siedem świec. Przypominają one świecznik siedmioramienny, oświetlający „miejsce święte” w świątyni jerozolimskiej. Ponad sześcioma świecami liturgicznymi, jakie palą się podczas odprawiania Ofiary Mszy św., góruje świeca biała. Przybrana białą lub błękitną wstęgą oraz gałązką zieleni, jest wyobrażeniem Najświętszej Maryi Panny — owej „Gwiazdy Zarannej” — która poprzedziła wzejście „Słońca Sprawiedliwości”, Jezusa Chrystusa, naszego Pana.

Ciekawa jest też historia zapalenia siedmiu świec podczas nabożeństwa roratniego. Otóż za panowania króla Bolesława Wstydlwego (1279) przyjętą się zwyczaj, że — w pierwszą niedzielę Adwentu — przedstawiciele wszystkich stanów przynosili na Roraty zapalone świece. Stawiał więc najpierw (na najwyższym świeczniku) swoją świecę król, następnie czynili to: dostojnik kościelny i świecki senator, ziemianin i rycerz, mieszczanin i wieśniak. Każdy z nich — podając swoją świecę — powtarzał słowa: „Gotowy jestem na przyjście Pana”. W ten sposób dawali wyraz swojej gotowości do spotkania się z Panem — nie tylko wtedy, gdy przyjdzie do nich w dzień Bożego Narodzenia, ale również i wtedy, gdy w potęgde i chwale przybędzie na końcu świata, aby sądzić wszystkich ludzi.

W obiektywie fotoreportera



Ogólnopolski Synod Kościoła Polskokatolickiego w RP (20 czerwca 2003 r.).



Wnętrze kaplicy św. Jakuba Apostoła w Rozkopaczewie. W dniu 7 września 2003 r. Zwierzchnik Kościoła Bp Wiktor Wysoczański poświęcił kaplicę i nadał jej wezwanie św. Jakuba Apostoła



◀ W dzień uroczystości Bożego Ciała w parafii pw. Świętej Rodziny w Łodzi



Żagań, marzec 2003 r. Rekolekcje wielkopostne

◀ Bażanówka przygotowała w roku bieżącym powiatowo-gminne dożynki. Na zdj. p. Grażyna Borek i p. Kazimierz Wójcik (z parafii polskokatolickiej) odbierają przyznany im za pracę społeczną Medal Grzegorza z Sanoka



Pierwsza Komunia św. w Kotłowie. 18 maja 2003 r. — ten dzień pozostanie na zawsze w pamięci dzieci, ich rodziców i całej wspólnoty parafialnej



Zakończenie rekolekcji w Kotłowie ▶ (4 kwietnia 2003 r.) odprawiono uroczystą Mszę św., podczas której udzielono Komunii św.

Z perspektywy 75. lat

Impresje eklezjologiczne i ekumeniczne

W bieżącym roku mija 75 lat od czasu **Pierwszego Synodu Kościoła Polskokatolickiego (27-29 czerwca 1928 r.), noszącego do 1951 r. nazwę „Polski Narodowy Kościół Katolicki” (w skrócie: PNKK)**. Kościół do 1951 r. był misją PNKK w USA. Autokefalizacja nastąpiła na podstawie uchwały I ogólnopolskiego zjazdu duchowieństwa (15 lutego 1951 r.), potwierdzona przez II ogólnokrajowy zjazd duchowieństwa (24 lipca 1952) i III synod (8-11 grudnia 1952). Wszystkie trzy zgromadzenia kościelne miały miejsce w Warszawie. Odtąd istnieją dwie niezależne administracje kościelne, a Kościoły łączy nie tylko wspólne polskie pochodzenie jego wiernych i osoba organizatora, bpa Franciszka Hodura (1866-1953), lecz przede wszystkim jedność w świętej wierze katolickiej. Zaakcentowały ją mocno kolejne synody Kościoła Polskokatolickiego. Tak więc PNKK w USA i Kanadzie pozostaje z Kościołem Polskokatolickim w jedności dogmatycznej i liturgicznej, przy jednoczesnym istnieniu dwu niezależnych kierownictw kościelnych, wybranych przez najwyższą władzę, czyli swoje synody. Jest to zgodne z *Utrechcką Deklaracją Wiary z 24 września 1889 r.*, będącą podstawowym dokumentem doktrynalnym wspólnoty starokatolickiej, który nie ustanawia żadnej nowej zasady wiary, lecz przeciwnie — nawołuje do powrotu do zasad wiary starego, niepodzielonego Kościoła.

Z perspektywy 75. lat przypomnijmy istotniejsze momenty Pierwszego Synodu, jako ważnego wydarzenia historycznego w życiu Kościoła Polskokatolickiego. Dla możliwie wiernego oddania niektórych uchwał i wypowiedzi, przytoczmy obszernie fragmenty dokumentów.

Obrady synodalne odbywały się w sali ośrodka Kościoła Metodystycznego przy placu Zbawiciela w Warszawie. Przewodniczył im bp Franciszek Hodur, który przybył z USA do Starego Kraju w towarzystwie bpa Leona Grochowskiego (1886-1969) i trzech świeckich przedstawicieli PNKK. Z Polski w synodzie uczestniczyło 24 księży i 76 delegatów świeckich, reprezentujących 30 parafii i filii parafialnych. Obecni byli także oficjalni reprezentanci Kościoła Starokatolickiego Mariawitów, Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego, Kościoła Ewangelicko-Reformowanego, Kościoła Metodystycznego, Kościoła Liberalnego (wspólnota ta zaprzestała swej działalności jeszcze w okresie międzywojennym). Ogółem w synodzie wzięło udział ponad 250 osób.

Podstawowy referat wygłosił bp F. Hodur, który po złożeniu sprawozdania z życia i działalności PNKK

w USA i Polsce, zapoznał zebranych z opracowanym przez siebie *Wyznaniem Wiary* oraz zasadami religijno-społecznymi, przyjętymi na poprzednich synodach w USA.

Są to zasady ciągle aktualne. Tak np. jeden z punktów *Wyznania Wiary* głosi, iż „wszyscy ludzie, jako dzieci jednego Ojca-Boga są sobie równi, że przywileje płynące z różnic stanu, z posiadania bezmiernych bogactw, z różnic płci, są wielką krzywdą, bo są pogwałceniem praw człowieka, jakie posiada z natury swojej i godności Bożego swego pochodzenia i są przeszkodą w celowym rozwoju człowieka”.

Myśl tę Autor rozwinął i uzasadnił w swym referacie następująco: „Rozumiemy dziś zwyczajnie, że w zasadzie wszyscy ludzie są sobie równi, ale nie tylko w zasadzie, na papierze, tak być powinno, lecz należy nam stworzyć taki ład społeczny, żeby wszyscy ludzie mieli to, co dla ich bytu i rozwoju jest koniecznie potrzebne. Gdybym wiedział, że koło mego domu w Scranton leży biedak chory, bez opieki, bez pomocy, to nie mógłbym spać, bolałoby mnie, że mój współwyznawca cierpi” (...).

„Uważamy, że społeczeństwo powoli, nie przez rewolucję, ale przez ewolucję, przez demokrację, przez naukę i organizację, powinno dążyć do tego, żeby sprawiedliwość społeczna zwyciężyła, żeby nie tylko nie było ludzi wydziedziczonych, lecz aby skończył się w ogóle ucisk człowieka przez człowieka” („Polska Odrodzona” 1928, nr 16, s. 7-8).

Bp F. Hodur zachęcał, aby duchowni sprawy te poruszali z ambon — tak, by stały się one przedmiotem debat sejmowych. A zatem walka o sprawiedliwość społeczną została podniesiona w tym programie do jednego z naczelnych haseł PNKK. Biorąc w obronę kobietę, nawoływano do wprowadzenia w Kościele zasady „pełnego jej równouprawnienia w życiu religijnym”.

W punkcie ósmym dokumentu programowego, zwanego *Jedenastoma Wielkimi Zasadami*, bp F. Hodur z naciskiem podkreśla, że „narody są członkami jednej wielkiej rodziny Bożej na ziemi, dlatego nie wolno jednemu narodowi okradać drugiego narodu z ziemi, politycznej, religijnej i społecznej wolności, z prawa do tworzenia rodzimej kultury, jak nie wolno jednemu poszczególnemu człowiekowi okradać drugiego poszczególnego człowieka z prawa własności, dobrego imienia, wolności sumienia i dążenia do osobistego szczęścia, o ile to dążenie nie sprzeciwia się

pospolitemu dobru. Prawo życia i rozwoju jest najwyższym prawem". W kolejnym punkcie czytamy: „królestwo, czyli społeczeństwo Boże, pod które założył fundament Jezus Chrystus, ma być federacją wszystkich wolnych narodów ziemi, przepojonych jedną wielką ideą braterstwa, współpracy i sprawiedliwości. Spełnienie obowiązku względem Boga, narodu, państwa, rodziny, siebie i poszczególnych członków społeczeństwa jest najlepszym regulatorem w tym żywym mechanizmie, nazywającym się człowiekiem, czy zbiorową ludzkością”.

Przedstawione na synodzie przez bpa F. Hodura zasady religijno-społeczne zostały przyjęte jako obowiązujące także Kościół w Polsce.

Synod uchwalił Konstytucję Kościoła (statut), wybrał Radę Kościoła, Sąd Kościelny i Komisję Rewizyjną. Postanowiono, że ukazujące się w Polsce od 1923 r. czasopismo „Polska Odrodzona” będzie odąd oficjalnym organem prasowym Kościoła. Seminarium Duchowne miało być przeniesione z Krakowa do Warszawy.

Z ogromnym entuzjazmem przyjęto projekt uchwały o stosunku Kościoła do innych wyznań chrześcijańskich. Wyrażono zarazem przekonanie, że Kościół Polskokatolicki winien „dążyć do zjednoczenia całego wolnego chrześcijaństwa w naszej Ojczyźnie, jako prawdziwy Kościół Narodowy”. W odnośnej uchwale czytamy: „Kościół nasz zajmuje przychylnie i braterskie stanowisko wobec wszystkich Kościołów chrześcijańskich i chce pracować i pozostawać z nimi w stosunku wolnego zrzeszenia z wolnym, równym z równym. Z Kościołami, które uznają sakrament kapłaństwa i sukcesję apostołską, Kościół Narodowy pozostaje w stosunku najbardziej zaprzyjaźnionym, a więc: z bratnim polskim Starokatolickim Kościołem Mariawitów oraz z innymi Kościołami starokatolickimi Holandii, Szwajcarii, Niemiec, Czechosłowacji, Jugosławii, Austrii i wszystkimi innymi Kościołami narodowo-katolickimi, wreszcie z Kościołami episkopalnymi Anglii, Ameryki itd. Kościół Narodowy szanuje każdy Kościół chrześcijański, który w imię Boże niesie ludziom światło Ewangelii Chrystusowej, pociechę i ukojenie duchowe. Nie gardzi nikim, nie chce nikogo poniżać, ale zastrzega sobie wolność słowa nawet wobec najpotężniejszych, najstarszych i najczcigodniejszych Kościołów, bo wierzy, że Opatrzność powołała go do głoszenia prawdy ewangelicznej według jego własnych przekonań, a prawda to najświętsza rzecz na świecie” („Rola Boża” z 4 sierpnia 1928 r., nr 16, s. 248).

Odnotujmy tu, że podobne stanowisko w tej sprawie zajęto już na trzecim synodzie PNKK w USA, który odbył się w Chicago w dniach 1-3 grudnia 1914 roku (Por. *Trzeci Synod Polskiego Narodowego Katolickiego Kościoła w Ameryce. Sprawo-*

zdanie, szkic historyczny i uwagi, Scranton, Pa. 1921, s. 38).

Uchwała Pierwszego Synodu w Warszawie została bardzo pozytywnie oceniona przez inne Kościoły chrześcijańskie w Polsce. Bezpośrednią reakcją na nią było wystąpienie obecnego na synodzie biskupa Kościoła Starokatolickiego Mariawitów, Romana [Marii Jakuba] Prochniewskiego (1872-1954), który — po wskazaniu na „ściśle więzy braterskie łączące oba Kościoły rdzennie polskie i dla polskiego ludu powstałe” — oświadczył: „Dziś (...) otwieramy wam, bez żadnych uprzedzeń, nasze serca i służymy wszelką pomocą. Pragniemy, aby nasz serdeczny braterski stosunek do Kościoła Narodowego nie był platoniczny i dlatego ofiarujemy wam wszystko, co posiadamy. Od tego czasu wszystkie kościoły mariawickie stoją otworem dla księży i ludu Kościoła Narodowego. Idźcie i głoscie Słowo Boże, skruszajcie serca ludzkie, opowiadajcie w nich miłość Jezusa, naszego wspólnego Pana i Mistrza. Nieporozumienia, jakie dotąd zachodziły między nami, Jezus Chrystus, nasz Pasterz Najwyższy, raczył usunąć i teraz zapanowała między nami serdeczna miłość, zgoda i jedność. Niech każdy Kościół zachowuje naturalnie własne zasady i obrzędy, lecz trzyma się tych starodawnych słów ojców Kościoła: W rzeczach wiary, koniecznych do zbawienia, jedność, w wątpliwych i niekoniecznych — swoboda i wolność, a we wszystkim miłość” („Rola Boża” z 4 sierpnia 1928 r. nr 16, s. 250).

Myśli i idee nurtujące uczestników Pierwszego Synodu Kościoła Polskokatolickiego są ciągle aktualne. Z perspektywy czasu należy zauważyć, że wzajemne relacje między PNKK a Kościołem Rzymskokatolickim były w okresie międzywojennym złe, nie tylko w USA, ale i w Polsce. U nas, w kraju, relacje te były nacechowane szczególną nieufnością, traktowano się w kategoriach nieprzyjaciół, odstępców od prawdziwego Kościoła lub odstępców od Ewangelii Jezusa Chrystusa. Sprzyjała temu i potęgowała konflikty między obu społecznościami polityka wyznaniowa władz tak w okresie międzywojennym, jak i w PRL. Te złożone uwarunkowania kościelne i polityczne wielokrotnie przedstawiano w publikacjach naukowych, a także na łamach periodyków kościelnych.

Pozmianach polityczno-ustrojowych w naszym kraju, w wyniku starań Zwierzchnika Kościoła Polskokatolickiego, wspieranych przez bpa dr. Hansa Gernego ze Szwajcarii (wielokrotnego sekretarza Międzynarodowej Konferencji Biskupów Starokatolickich), został podjęty w Polsce dialog pomiędzy Kościołami Polskokatolickim i Rzymskokatolickim.

Dialog ten trwa od 1998 roku. Przebiega on w atmosferze wzajemnego otwarcia i szczerości. Szerzej pisaliśmy o tym w „Rodzinie” nr 6, 2003 r., s. 8-10.

(W.W.)

I usłyszałem głos z nieba, który do mnie mówił: „Pisz, błogosławieni odtąd umarli, którzy umierają w Panu! Zaprawdę, tak mówi Duch, niech odpoczną od trudów swych. Bo uczynki ich idą za nimi”. (Apokalipsa św. Jana 14, 13).

Owego czasu Jezus rzekł: „Ja jestem chlebem żywota. Kto przyjdzie do Mnie, już taknąć nie będzie... Wszystko, co Ojciec Mi daje, przyjdzie do Mnie; a tego, który do Mnie przyjdzie, z pewnością precz nie wypędzę” bo zstąpiłem z Nieba nie po to, aby czynić swoją wolę, lecz wolę Tego, który Mnie posłał. A wola Tego, który Mnie posłał jest taka, abym nic z tego, co Mi dał, nie zatracił, lecz wskrzesił w dzień ostateczny. Bo to jest wola Ojca mego, który Mnie posłał, ażeby każdy, kto widzi Syna i wierzy w Niego, miał żywot wieczny i żebym Ja go wskrzesił w dzień ostateczny”. (J 6, 35-40).

w ogóle sens ma nasze życie, cierpienie, walka i nieustanne szamotanienie się, szukanie nowych dróg, nowego lepszego jutra?

Człowiek na próżno usiłował rozwiązać zagadkę śmierci. I dziś również nauka nic więcej nie wie o bycie, jak tylko to, że jest ono kołem narodzin i śmierci. Do dnia dzisiejszego, ile razy stajemy nad mogiłą, usiłujemy zgłębić jej tajem-

Nie dana jest nam droga bez końca



Śmierć zawsze nadchodzi niespodziewanie

Dzień Wszystkich Świętych, Dzień Zaduszny — składamy kwiaty na cmentarzach i pod pomnikami, zapalamy znicze na grobach i miejscach straceń. Pochylamy się nad mogiłami, wspominając Tych, którzy odeszli. Cmentarze płoną dziesiątkami świateł, a pamięć przywołuje wizerunki Tych, których już nie ma między nami.

Chciałoby się powiedzieć za poetą: *W bezlistnych drzewach.*

W strzępach chmur czarnych — Smutek dojrzewa. Tli płomień świecy. W kwiatkach — jak pamięć — Serc gorejąca... Cmentarna brama. Stąd droga w wieczność. W blask zmartwychwstania. Sens życia? Pomyśl nad jego treścią.

Idziemy alejkami cmentarza, odczytując napisy na pomnikach i krzyżach, idziemy wśród białych chryzantem, płonących świateł i snujemy refleksje. Na cmentarzach jest wiele mogił — są marmurowe grobowce, ale jest też wiele zarośniętych trawą grobów, na które nikt już nie przychodzi. Obok zasłużonych, znanych ludzi, spoczywają ludzie nieznanymi, szarzy. Obok bogatych — biedni.

Warto w tych dniach oderwać się od codziennych zmartwień i kłopotów i zastanowić się nad sensem życia.

Życie i śmierć, śmierć i życie — to odwieczny problem ludzkości. Śmierć zawsze nadchodzi niespodziewanie, choć przecież wiemy, że nie dana nam jest droga bez końca. Wszystkie wartości ludzkie i wszystkie zdobycze, osiągnięcia, stają się w obliczu majestatu śmierci jakiegoś enigmatyczne, niewiele znaczące.

Jeśli wszelkie ludzkie wartości gasną przy ostatnim tchnieniu człowieka, to należy zapytać, jaki

nicę. Zadajemy sobie pytania: Czy właśnie z mogiłą kończy się wszystko, czy życie sięga dalej — w nieskończoność, w wieczność? Jeżeli mogiły rozdzielają nas na zawsze od naszych najbliższych, bez nadziei spotkania i są ostatnim etapem podróży, to i nasze zmagania i walka, nasze upadki i wzloty, nasze życie całe traci urok i sens!

Człowiek zwykle liczy na siebie, na otoczenie. Pewnego jednak dnia przekonuje się, że coś się popsuło w tej skomplikowanej maszynie życia, że siły go opuszczają — i najbliżsi też. Dostrzega, że stoi w ślepej uliczce, chce się cofnąć, ale nie ma odwrotu. To wszystko dzieje się na skutek niedocenia, lekceważenia tej wielkiej tajemnicy między Bogiem a człowiekiem, jaką jest śmierć.

Życie jest niepowtarzalne. Człowiek wierzący ani przez chwilę nie może przypuszczać, że wraz ze śmiercią nic nie zostaje z tego, co w jego piersi drgało szczęściem, smutkiem, dobrem, tkliwym uczuciem, tysiącem wzruszeń życiowych. Jak ciepło, tak i życie jest siłą wytworzoną. Ciało ma swój początek i koniec, dusza zaś nie ma końca. Śmierć jest odłączeniem duszy od ciała. Dusza pozostaje niezmienną. Śmierć jest więc przejściem z jednego stanu w drugi.



Dusza odłącza się od ciała i staje przed Sądem Bożym, ciało zaś pozostaje w ziemi i ulega rozkładowi, zgodnie z powszechnym prawem natury zmienia kształt i zamienia się w proch.

Naszą wiarą w nieśmiertelność duszy oświecamy ciemność grobu, poznajemy sens naszego życia. Nie smućmy się więc, zaufajmy Chrystusowi.

Oni żyli i cierpieli tak jak ja

O Panie! Jako ja żyję i cierpię, ONI żyli i cierpieli,

i przeminęli, jako ja przeminę.

O Panie! Wzrostem wśród NICH, nie pojmowałem niegdyś, co to jest być bez NICH, a dziś już pojmuję, co to jest być z NIMI. Gdzie ONI są, o Panie?

Czasem w głosach słyszanych zda mi się, że ICH głos się odzywa — czasem w nocy strach mnie przejmuję; patrzę na około, jak gdyby ONI stali blisko — i minie chwila, i nie ma nikogo!

O, daj IM odpoczynek na łonie Twoim, o Panie! — ONI w czasie

grzeszyli, a teraz klęczą u stóp Twoich w wieczności.

Tyś miłością jedyną. Tyś Ojcem ICH. Tyś Ojcem naszym — poczęliśmy się w tchnieniu miłości Twojej, żyliśmy w niej, och! żyć w niej będziemy na wieki. Ty się w miłosierdziu kochasz, o Panie!

A IM krótkie dni były pełne utrapienia — przyszli na te padoły nie pamiętając, skąd idą, nie wiedząc, gdzie pójdą, ufając tylko imieniowi Twemu — w nieszczęściu wzdychali do Ciebie!

Daruj, o daruj IM, Panie! Zło ICH otaczało, ale nie było w ICH sercach. — Jeśli zwątpili kiedy o Tobie, to IM męką było — i na każdy ICH uśmiech sto łez spłynęło, o Panie!

Z przejrzania mądrości Twojej światło, które ICH oświecało, było drżące i gubiące się w ciemnościach. — Omackiem stąpali, a kiedy gdzie dotknęli się przelotnej chwały Twojej, czcili Ciebie i kochali łaski Twoje! Przebacz IM, Panie!

Jeśli dotąd za winy pracują z daleka od Ciebie, pozbawieni niebieskich radości; jeśli dotąd nie zerwana zastłona ICH losów, jeśli wiedzą jeszcze, co to łyż i westchnienie; o, skróć chwile ICH próby — a jako ja dzisiaj modlę się za NICH, daj, Panie, by kiedyś ci, których zostawię na ziemi, modlili się za mnie.

* * *

Połącz mnie kiedyś, o Panie, z TYMI, których poznałem i ukochałem na ziemi — byśmy razem żyli w Tobie na wieki wieków. — Amen.

Zygmunt Krasiński (1812-1859):
„Modlitwa za Umartych”

Ostatnie chwile życia Wieszcza

Wieczór 26 listopada 1855 r. był niezwykle mglisty. W jednej z dzielnic Konstantynopola, w której szalała straszna choroba — cholera, w osamotnionym domu, na ubogim łożu stojącym w kącie dużej izby, umierał Adam Mickiewicz. Ciężki oddech wydobywał się z piersi umierającego. Przy łożu chorego czuwał wierny towarzysz jego podróży na Wschód — Henryk Szułski, a obok niego drugi przyjaciel, pełniący obowiązki sekretarza — Armand Léwy. Z wyrazu twarzy lekarza można było wnioskować, że dla chorego nie ma już żadnego ratunku. Od czasu do czasu bóle wstrząsały ciałem, by ustąpić na chwilę.

W tych przebiegach przytomności Poeta widział całe swoje życie, przyjaciół z lat młodzieńczych, wrogów oskarżających go o zdradę i podstępne intrygi, czy wreszcie zsykę braci Filomatów oraz ostatni zryw — wyjazd do Turcji i związana z nim nadzieja na rychłą wolność Ojczyzny. Chory cierpiał bardzo, ale nie uskarżał się na bóle fizyczne.

Wyspowiadał się solennie, pokornie przyjął ostatnie namaszczenie i poddał się woli Bożej. Po chwili cicho i wyraźnie powiedział: „Powiedźcie moim dzieciom, niech się kochają... — i po chwili dodał — zawsze”. Były to jego ostatnie słowa. Zegar wskazywał wówczas godzinę 20 minut 45.

Nikt z obecnych nie mógł pohamować cisnących się do oczu łez, a przecież byli to ludzie zahartowani w ciężkich walkach i trudach życia. Całą noc czuwali przy zwłokach Zmarłego.

Nazajutrz zjawili się dwaj lekarze z konsulatu francuskiego, którzy z polecenia władz zabalsamowali ciało i podpisali akt zgonu Adama Mickiewicza. Na głowę Zmarłego włożono konfederatkę, a w skrzyżowane dłonie — niewielki drewniany krucyfiks z pasyjką Chrystusa. Ciało złożono w dwóch trumnach: ołowianej i drewnianej, przepasanej na krzyż szarfą o narodowych barwach polskich.

W dniu pożegnania, 31 grudnia, od rana padał zimny, rześisty deszcz, niebo było zasnuwane ołowianymi chmurami. Ludzie po kostki brnęli w błocie, a mimo to przybyło ich tak mnóstwo, że orszak pogrzebowy składał się aż z trzydziestu różnych narodowości. Liczna grupa tamtejszej Polonii, złożona z rodaków przebywających wówczas ochotniczo w zastępach otomańskich Kozaków, których potomkowie do dziś żyją w Burgas i w Adampolu, szła w pierwszych szeregach.

Pogrzeb rozpoczął się o godzinie 11, poprzedzał i zamykał go oddział tureckiej piechoty i Kozaków otomańskich Sadyka Paszy. Po nabożeństwie żałobnym i egzekwacji kondukt ruszył ku portowi. Tu już czekał gotowy do drogi parowiec pocztowy „Eufkrat”, na pokładzie którego ustawiono wśród zieleni i egzotycznych kwiatów trumnę. Po siedmiodniowej podróży „Eufkrat” zawinął do portu w Marsylii.

W dniu 9 stycznia 1856 r. zwłoki Poety złożono w kościele pw. św. Marii Magdaleny w Paryżu. Z uwagi na rozproszoną liczną Polonię, żałobny akt pochowania doczesnych szczątków Wieszcza na Montmorency odbył się dopiero w dniu 21 stycznia.

Tu spoczywał Adam Mickiewicz trzydzieści pięć lat. W roku 1890 trumna ze zwłokami Poety wróciła do kraju i spoczęła za Wawelu. Poetę pochowano obok grobowców królewskich w dniu 4 lipca. Podczas uro-

czystości żałobnej przemówił syn Wieszcza — Władysław Mickiewicz, który wyraził wdzięczność Polsce za tak podniosły, prawdziwie królewski pogrzeb ojca. Zabrzmiał królewski dzwon Zygmunta, uderzono też we wszystkie dzwony krakowskich kościołów. Ostatnie pożegnalne przemówienie wygłosił Adam Asnyk. Młodzież akademicka wniosła trumnę do wnętrza katedry, a po nabożeństwie zamknięto ją w uprzednio przygotowanym sarkofagu.

„Pieta” — drzeworyt polski



„Pieta” — drzeworyt Wiktorii Goryńskiej, stylizacyjnie nawiązujący do góralskiego folkloru, a zarazem nowatorski. Za tę pracę, będącą trawestacją słynnej rzeźby Michała Anioła, autorka otrzymała złoty medal we Florencji w roku 1929. Pracę tę mogliśmy podziwiać w bieżącym roku w Muzeum Literatury w Warszawie na wystawie: „Wielki Tydzień. Męka, Śmierć i Zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa w sztuce polskiej XIX i XX wieku”.

Prawdziwie godną, sprawiedliwą, słuszną i zbawienną jest rzeczą, abyśmy Tobie zawsze i wszędzie dzięki składali, Panie Święty, Ojcze Wszchemogący, wieczny Boże, przez Chrystusa, Pana naszego. W Nim zabłysła dla nas nadzieja chwalebного zmartwychwstania, tak iż my, których zasmuca nieunikniona konieczność śmierci, znajdujemy pociechę w obietnicy przyszłej nieśmiertelności. Dla Twoich bowiem wiernych, o Panie, życie nie kończy się, lecz tylko się odmieńnia, a gdy ciało w proch się rozsypie, wtedy człowiek znajduje w niebie wieczne mieszkanie.

(Z Mszału Polskokatolickiego)

„Ciemno wszędzie, głucho wszędzie...” czyli dawne Zaduszki

Do dnia Zadusznego stosowało się następujące przysłowie:

*Dzień Zaduszny, bywa pluśny,
Niebo płacze, ludzie płaczą.
A ubogich chlebem raczą,
Rozdając jałmużnę,
Za duszyczki różne.*

Adam Mickiewicz przy pierwszym wydaniu poematu „Dziady” dodał takie oto objaśnienie panującego niegdyś zwyczaju:

„Jest to nazwisko uroczystości obchodzonej dotąd między pospółstwem w wielu powiatach Litwy, Prus i Kurlandii, na pamiątkę dziadów, czyli w ogólności zmarłych przodków. Uroczystość ta początkiem swoim sięga pogańskich czasów i zwała się kiedyś uczta Kozła, na której przewodniczył Kozłarz, Huślarz, Guślarz, razem kapłan

i poeta (gęślarz). W teraźniejszych czasach, ponieważ światło duchowieństwo i właściciele usiłowali wykorzenić zwyczaj połączony z zabobonnymi praktykami i zbytkiem częstokroć nagannym, pospółstwo święci Dziady tajemnie, w kaplicach lub pustych domach niedaleko cmentarza. Zastawia się tam pospolicie uczta z rozmaitego jadła, trunków, owoców i wywołują się dusze nieboszczyków. Godne uwagi, iż zwyczaj częstowania umarłych zdaje się być

wspólny wszystkim ludom dawniejszym — w Grecji za czasów home-rycznych, w Skandynawii, na Wschodzie i po wyspach Nowego Świata.

Dziady nasze mają to szczególne, iż stare obrzędy pomieszane są z wyobrażeniami religii chrześcijańskiej, zwłaszcza iż dzień Zaduszny przypada około czasu tej uroczystości. Pospółstwo rozumie, iż potrawami, napojami i śpiewem przynosi ulgę душom czyśćcowym. Cel tak poważny, święta, miejsca samotne, czas nocny, obrzędy fantastyczne, przemawiały niegdyś silnie do mojej wyobraźni; słuchałem bajek, powieści i opowieści o nieboszczykach powracających z prośbami lub przestrogi, a we wszystkich zmyśleniach można było dostrzec pewne dążenia moralne i pewne nauki gminnym sposobem zmysłowie przedstawiane”.
(Na podstawie „Roku Polskiego” Zygmunta Glogera).

Warto podczas tych refleksyjnych listopadowych dni sięgnąć jeszcze raz po tę książkę i dzięki niej przenieść się w odległe czasy, kiedy to ludy słowiańskie świętowały Dziady.

Dzień Zaduszny w strofach wierszy dziewiętnastowiecznej poetki Emilii Lei — z fotografiami współczesnych nam cmentarzy

*Lubię (...) Kiedy listopad w drugiej swej
dobie,*

*Łzami się wspomnień skryształi,
A dłoń ludzkości na każdym grobie
Światło w cześć Zmarłym zapali.
Bo wtedy twarzą padłszy na ziemi,
Na ziemi żółtkiej, wilgotnej,
Cichą rozmowę wiodę ze Zmarłymi,
Głosem modlitwy samotnej.*



*A kiedy życia wątleją siły,
Skróń się pochyli wśród znoju,
Błogoż podążyć między mogiły,
Po słodkie krople pokoju.
Lubię więc dzień ten Zaduszny, stary,
co innym myśli zasmuca;
On mi złociste promienie wiary
Na pomrok życia tu rzuca.*

Matczyne cierpienie

Życie Najświętszej Maryi Panny od wieków inspirowało artystów. Jacopone da Todi (średniowieczny poeta) przedstawił je w sposób niezwykle prosty, a mimo to niezwykle sugestywny i wzruszający. To on nakreślił portret Bożej Rodzicielki bodajże najpiękniej.

Jacopone da Todi, zmarły w 1306 r. franciszkanin, z całego życia Maryi wybrał zaledwie dwie sceny. Rozpoczynają się one podobnie i mają zbliżoną strukturę: „Stabat Mater Speciosa” i „Stabat Mater Dolorosa”. Opisał Matkę Chrystusa przy żłóbku i pod krzyżem — pełną chwały i pełną boleści. Czemu jednak z obu sekwencji średniowiecznego poety przyjęła się ta druga, nie wiadomo. Być może dlatego, że cierpienie i ból nieustannie towarzyszy człowiekowi. Jacopone da Todi opisał boleść Maryi w sposób ujmująco prosty, ale właśnie w tym tkwi siła jego poezji. Dał po prostu wyraz uczuć cierpiącej Matki, która jest świadkiem śmierci Swego Syna.

W kilka stuleci później, w wieku XVIII, składająca się z dwóch części — opowiadającej i modlitewnej — „Stabat Mater Dolorosa” Jacopone da Todiego została wpisana do sekwencji przyjętych w liturgii kościelnej. Śpiewano ją w Święto Siedmiu Boleści Matki Boskiej 15 września). Ale średniowieczny tekst już wcześniej — i także później inspirował kompozytorów, którzy pragnęli ozdobić go muzyką. Uczynili to, m.in.: Verdi, Sclarlatti, Schubert, Rossini, Dworzak, Szymanowski, Penderecki i wielu, wielu innych. Twórcy różnych epok odmiennie jednak traktowali pasyjny temat Matki Bożej.

Opłakiwanie Chrystusa — mal. Roger von der Weyden (ok. 1450 r.)



Stabat Mater Dolorosa
Iuxta crucem lacrimosa,
Dum pendebat Filius.

Cuius animam gementem,
Contristatam et dolentem
Pertransiuit gladius.

O quam tristis et afflicta
Fuit illa benedicta

Mater unigenti!

Quae maerebat et dolebat
Pia Mater, dum videbat
Nati poenas incliti

Quis est homo qui non fleret
Matrem Christi si videret
In tanto supplicio?

Quis non posset contristari
Christi matrem contemplari
Dolentem cum Filio?

Pro peccatis suae gentis,
Vidit Jesum in tormentis,
et flagellis subditum.

Vidit suum dulcem natum,
Moriendo desolatum,
Dum emisit spiritum.

Eia Mater, fons amoris,
Me sentire vim doloris
Fac, ut tecum lugeam.

Fac ut ardeat cor meum
In amando Christum Deum,
Ut sibi complaceam.

Sancta Mater, istud agas,
Crucifixi fige plagas
Cordi meo valide.

Ave verum Corpus natum de Maria
Virgine
Vere passum, immolatum in cruce pro
homine.
Cuius latus perforatum fluxit aqua et
sanguine
Esto nobis praegustatum mortis
in examine.
O Jesu dulcis! O Jesu Pie! O Jesu filii
Mariae.

Tekst łaciński „Stabat Mater Dolorosa”

Josquin de Pres był chyba największą indywidualnością w muzyce przełomu XV i XVI wieku. Działał we Włoszech, potem osiadł na francuskim dworze króla Ludwika XII. Księżę muzyki, jak go nazywano, pisał utwory bardzo kunsztowne, jego motet „Stabat Mater” na 5 głosów, w którym muzyka ilustruje każdy szczegół tekstu Todiego, przez długie lata była wzorem dla

innych. Ale tak kompozycja brzmi skromnie, wręcz surowo w porównaniu z 12-częściową „Stabat Mater”, którą dwa wieki później skomponował E.B. Pergolesi. Z jego kompozycją narodził się uczuciowy styl w muzyce kościelnej, a kościelną surowość zastąpiła wypowiedź liryczna. Nieustająca popularność tego dzieła wynika z pięknych brzmień uroku melodii i z intensywnej emocjonalności wyrażonej oszczędnymi środkami.

Ponad 100 lat później, w latach 30. XIX wieku, mistrz opery Giacomo Rossini, napisał „Stabat Mater”, który to utwór zamówił u niego pewien madrycki pafat. Paryskie prawykonanie przyniosło zachwyt publiczności, a podzielona na dziesięć części „Stabat Mater” przypomina najlepsze jego opery, urzekając melodyjnością, jasnością i przejrzystością instrumentalną.

Czeski kompozytor Antoni Dwořak swoim „Stabat Mater” stworzył monumentalne oratorium symfoniczne. Jest ono przykładem późnoromantycznej religijności, nacechowanej dążeniami do osiągnięcia maksimum ekspresji emocjonalnej.

Plakat 38. Międzynarodowego Festiwalu „Wrocławia Cantans” 2003, Festiwalu, który co roku gości artystów z całego świata. Często koncerty we Wrocławiu są największym wydarzeniem artystycznym roku. Koncerty w ramach festiwalu „Wrocławia Cantans” odbywają się również w pięknych gotyckich murach katedry poiskokatolickiej pw. Marii Magdaleny we Wrocławiu.



Wiek XX ze swym buntem przeciw postromantycznym tendencjom musiał przynieść też i inne sposoby wyrażania uczuć. Śpiewano w kościołach „Święty Boże” czy też „Gorzkie żale”. Wtedy to Karol Szymanowski skomponował „Stabat Mater” — i to nie do średniowiecznego tekstu łacińskiego, lecz do polskiego tłumaczenia Józefa Jankowskiego. Szymanowski odwołuje się do polskiej tradycji, choć zachowany został oryginalny tytuł łaciński. Polski tekst, prosty, świetnie kontrastował z łacińskim tytułem („Stała Matka bolejąca/Koło krzyża, łzy lejąca/Gdy na krzyżu wisiał Syn”). Tak powstała bardzo polska „Stabat Mater” o wartościach uniwersalnych.

Niezwykła ascetyczność cechuje też „Stabat Mater” Krzysztofa Pendereckiego. Tylko prostota, doprowadzona do maksimum, w pełni może oddać rodzaj ekspresji średniowiecznego tekstu. To przekonanie kierowało Krzysztofem Pendereckim, a wielki temat w historii muzyki zatoczył w ten sposób koło. Co będzie dalej, zobaczymy. Wielu kompozytorów w przyszłości na pewno sięgnie po tekst „Stabat Mater”.

Błogosławieni, którzy się smucą

Placzą ludzie z różnych powodów...

Placze niemowlę, gdy mu zimno, gdy je coś boli, gdy jest głodne... Placze, bo inaczej nie potrafi wyrazić, że mu źle.

Placze starsze dziecko, gdy się uderzy, lub skaleczy, a także dlatego, gdy mu się czegoś odmawia.

Placzą dziewczęta z powodu zawiedzionej miłości.

Placze matka stroskana o los swego chorego dziecka.

Placze staruszka opuszczona przez swoich najbliższych, którym ofiarowała pracę swego życia.

Mężczyzna, nawet młody chłopiec, bardzo rzadko płacze. Wstydzi się na ogół też. Dzisiejszy mężczyzna rzadko płacze, tylko w chwilach wyjątkowych z jego oczu płyną łzy, np. po stracie kogoś najbliższego lub w momencie głębokiego rachunku sumienia.

Z Pisma Św. wiemy, że św. Piotr zapłakał, gdy trzykrotnie zaparł się Chrystusa, wspomniawszy sobie Jego przepowiednię.

Nawet sam Bóg-Zbawiciela nasz płakał, o czym świadczy choćby scena u grobu Łazarza. Może to dziwić, że Bóg-Człowiek płakał, wszak nie wolno nam jednak zapominać, iż po to Bóg stał się człowiekiem, by własnym ciałem i sercem przeżyć to wszystko, co przeżywa człowiek.

Placł Chrystusa nad zmarłym Łazarzem był szczery. Jezus znał wagę płaczu, który ze skruszonego serca płynie, serca wstrząśniętego żalem nad swymi winami. To właśnie Chrystus rzekł do jawno grzesznicy, która słowa nie mogąc wymówić, w żalu i skrusze płakała u stóp Jego: *Odpuszczają się Tobie grzechy.*

Właśnie Mistrz ocenił oczyszczające łzy skruchy Piotra, gdy tenże zaparł się Pana.

Błogosławieni, którzy płaczą. Ci, którzy za życia płakali łzami szczerzego żalu, zostaną wtedy pocieszeni w pełni.

Nie wolno nam zapominać, że Bóg widzi nasze krzyże, bo sam je włożył na nasze ramiona. Widzi też, jak te krzyże człowiek niesie, a wartość też ludzkich głęboko ocenia. Bóg chce, aby każde nasze cierpienie stało się dla nas niezgłębionym źródłem zastugi...

Malula - po aramejsku - znaczy: „przejście”

Sześćdziesiąt kilometrów na północny wschód od Damaszku znajduje się niewielka syryjska osada, Malula, przyczepiona do skał jak jaskółcze gniazdo. Malula liczy tylko pięć tysięcy mieszkańców, ale jest sławna, bowiem do dzisiaj mówi się tam w języku Chrystusa — po aramejsku.



Od dawna interesowali się nią językoznawcy z całego świata, badacze dialektów semickich przemieszkiwali tu całymi latami, doskonaląc swoją wiedzę o języku aramejskim. Przysłuchiwali się żywemu językowi mieszkańców Maluli i dwóch sąsiednich wiosek: Bakha i Joubadeen. Po aramejsku wciąż mówi w tej okolicy (choć nie pisze) ok. 18 tysięcy osób.

Widok Maluli jest niezwykły: gęsta zabudowa, ściana przy ścianie, dom przy domu i nad domem — pną się w górę, pokrywając całe południowe zbocze. Góra zaś wygląda jak szwajcarski ser — wszędzie groty, jaskinie, dziury. Masyw skalny jest pęknięty. Przecina go wąska szczelina, tworząca malowniczy, kręty wąwóz. Właśnie od niego wzięła się nazwa miejscowości — Malula, co po aramejsku znaczy: „przejście”.

Legenda głosi, że wąwóz powstał w sposób cudowny i wiąże się z osobą pierwszej chrześcijańskiej męczennicy św. Tekli. Św. Tekla — orędowniczka w czasie pożarów i zarazy — w I wieku po Chrystusie,

pod wpływem nauk św. Pawła Apostoła nawróciła się i zerwała zaręczyny z poganinem, za co została skazana na stos. Uratował ją deszcz, który zgasił płomień.

W okolicach Maluli można usłyszeć inną wersję legendy: młoda Tekla, ścigana przez żołnierzy rzymskich i prześladowana przez własną matkę, uciekając stanęła przed wysoką górą. Bóg wysłuchał modlitw dziewczyny, rozdzielił górę szczeliną, umożliwiając jej ucieczkę. Tuż przy wejściu do wąwozu stoi Mar Taqla, monaster św. Tekli — należący do greckiego Kościoła Prawosławnego. Pielgrzymują tu zarówno chrześcijanie, jak i muzułmanie. Natomiast po drugiej stronie wąwozu, nieco wyżej wznosi się Mar Sarkis, klasztor i kościół św. Sergiusza, jedno z ciekawszych miejsc Maluli. Jak się okazuje, dla Polaków — najciekawsze.

Kościół św. Sergiusza — jeden z najstarszych kościołów chrześcijańskich na świecie. Opiekują się nim ojcowie bazylianie salwatorianie, ze zgromadzenia założonego

w Libanie pod koniec XVIII w. Surowe kamienne wnętrza. Półmrok rozświetlany światłami świec, lamp wiszących na długich łańcuchach i żyrandoli z kryształowych paciorków. Tu odmawia się „Ojcze nasz” po aramejsku. Kościół zbudowano w IV w. Jednakże świątynia stała tu już wcześniej. Pomiedzy ścianami kościoła odkryto jakiś czas temu stare drewniane bale. Próbkę drewna przestano do Niemiec, gdzie naukowcy określili ich wiek: miały co najmniej dwa tysiące lat. To samo dotyczyło drewnianych drzwi kościoła. Bardzo stare muszą być także dwa tutejsze ołtarze. Oba przypominają ołtarze świątyń starożytnych.

Chlubą kościoła są piękne ikony bizantyjskie. Za najcenniejszą uchodzi Matka Boża z Dzieciątkiem, naśladowanie ikony przypisywanej św. Łukaszowi oraz dwudzielna ikona, której dolna część przedstawia Ostatnią Wieczerzę, górna — Ukrzyżowanie. Są też połyskujące złotym tłem XIX-wieczne ikony Michała z Krety.

W klasztorze św. Sergiusza mieszkał przez pewien czas podczas II wojny światowej polski generał. Czy jest tam jakaś tablica poświęcona generałowi Andersowi? Nie, nie ma niczego takiego, ale są dwie ikony, które generał Anders podarował klasztorowi. Zwiedzający klasztor Polacy nie omieszkają spojrzeć na pamiątkowe ikony. To przecież jakiś polski ślad.

W przyklasztornym sklepiku sprzedają widokówki z Maluli i Damaszku, znaczki pocztowe, święte obrazki i taśmy z modlitwami nagranyymi po aramejsku. W cieniutkiej książeczce (wersja angielska) o świątyni św. Sergiusza w Maluli, znaleźć można reprodukcje „naszych” ikon opatrzone podpisami: „Chrystus i Matka Boża (podarowane przez Generała Andersa)”. Czytamy dalej: „Klasztor św. Sergiusza posiada dwie dość rzadkie ikony, prawdopodobnie sztuka polska



Bóg Ojciec — ikona podarowana przez gen. Andersa

(XVIII wiek?). Były podarowane Klasztorowi, jako wotum wdzięczności przez Generała Andersa. Po swoim uwolnieniu w 1943 roku spędził pewien czas jako gość Klasztoru, co umożliwił mu wówczas śp. brat Gregory Ābi-Samra znany ze swej gościnności”.

Nie wiadomo, kiedy i jak długo przebywał generał Anders w Malu-

li, skąd wzięły się podarowane klasztorowi ikony, określane przez ojca przełożonego, jako „Polish Art”. Czy przyjechały one razem z wojskiem z Rosji?

Z zachowanych informacji o gen. Andersie można się dowiedzieć, że był ciężko chory na malarię i prawdopodobnie mógł wyjechać do górskiego klasztoru na rekonwalescencję.

Natomiast co do ikon, to historycy sztuki zdecydowanie twierdzą, że nie jest to sztuka polska, nawet ta najszerzej pojęta. Nie jest to ani sztuka polska, ani rosyjska, ani raczej w ogóle europejska. Hipotezy, także ostrożne, ale jednak idące w wyraźnym kierunku — to prawdopodobnie sztuka miejscowa, ikony namalowano na Bliskim Wschodzie, w Libanie, w Syrii... Rodzaj sztuki ludowej. Dziwne są też napisy — wyglądają na greckie, ale właściwie naśladowują grekę... może to aramejski zapisany greckimi literami? Jest wiele pytań dotyczących historii ikon gen. Andersa. Może ikony mogły powstać nawet w latach czterdziestych XX wieku, może generał je



Maryja z Jezusem — dar gen. Andersa

tylko ufundował? W tej historii nitki płaczą się i urywają. Jest więcej pytań niż odpowiedzi. Wiadomo jednak, że w malulejskim klasztorze św. Sergiusza są pamiątki bliskie sercu każdego Polaka.

(Opr. na podstawie artykułu: „Ikony generała Andersa”, *Rzeczpospolita* nr 299 (6376)

ROZWAŻANIA POETYCKIE

Gdzie pójdę

*Gdzie kto będzie po śmierci,
za życia odganie.*

*Gdzie chylił się za życia,
tam po śmierci wpadnie.*

Adam Mickiewicz:
„Gdzie pójdę”

rodzina

MIESIĘCZNIK KATOLICKI

Wydawca: Społeczne Towarzystwo Polskich Katolików. Instytut Wydawniczy im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego. Redaguje Kolegium. Adres redakcji: ul. Czardasza 18, 02-169 Warszawa, tel. (22) 868-32-47. Cena prenumeraty rocznej: 24 zł. Redakcja nie zwraca tekstów nie zamówionych i zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania.

Druk: Zakład Poligraficzny „Polkat — Holding” Sp. z o.o. Zam. 233/2003.

Memento mori!

Najsłynniejsze obrazy świata

Tycjan: Alegoria trzech okresów życia człowieka. Obraz namalowany ok. r. 1510-1515.

Refleksja: Czas ucieka. Memento mori. Życie człowieka składa się z trzech zasadniczych etapów: błęgiego dzieciństwa, pięknej młodości, a także dojrzałości oraz smutku i refleksyjności wieku sędziwego. Na obrazie: starzec zastanawia się nad sensem życia i swym nieuchronnym odejściem z ziemskiego pałodu, co symbolizuje również bezlitosne, usychające drzewo na wzgórzu.



Rękopis liturgiczny: „Sakramentarz tyniecki” (XI w.) w zbiorach Biblioteki Narodowej

Biblioteka Narodowa w Warszawie — obchodząca 75-lecie istnienia — była gościem honorowym tegorocznych 14. Krajowych Targów Książki w Warszawie. Był to gość niezwykle miły sercu wielu z nas. Biblioteki bowiem są szczególnie ważnym miejscem kultury — jak podkreślił dyrektor Biblioteki Narodowej, p. Michał Jagiełło. — W pieczołowicie przechowywanych książkach zmaterializowana jest ciągłość; biblioteki zatem to żywe pomniki pamięci. Tej odległej i na wyciągnięcie ręki.

Jeżeli czytaliśmy powieść Eco „Imię róży”, przypominamy sobie na pewno scenę, kiedy to angielski franciszkanin Wilhelm z Baskerville wraz z młodym sekretarzem Adsem z Melk odwiedzają opactwo benedyktyńskie w północnych Włoszech. Zachwyca ich tam wspaniałe skryptorium. Pochyleni mnisi przepisują księgi. „Najlepiej oświetlone miejsca — czytamy w powieści — przeznaczone były dla antykwariuszy, najbardziej doświadczonych iluminatorów, rubrykatorów, kopistów. Każdy stół zaopatrzony był we wszystkie rzeczy niezbędne do iluminowania i do przepisywania: różki z inkaustem, cieniutkie pióra, które paru mnichów ostrzyło właśnie ostrymi nożyczkami, pumeksy do wygładzania pergaminu, linały do kreślenia linii, by zmieszać potem na nich litery”.

Również i nasze skarby „nad złoto droższe”, czyli najstarsze rękopisy znajdujące się w zbiorach Biblioteki Narodowej, musiały powstawać w podobnych skryptoriach. Wspaniałym, jednym z najcenniejszych rękopisów liturgicznych w zbiorach Biblioteki Narodowej jest „Sakramentarz tyniecki” z XI w.

PSYCHES IATREION — co znaczy: sanatorium dla umysłu — ten napis widniał na portalu Biblioteki Aleksandryjskiej. Zmodyfikowaną wersję umieszczono na zbudowanej w XVIII stuleciu Bibliotece Kró-

lewskiej w Berlinie; NUTRIMENTUM SPIRITUS, co po łacinie znaczy: pokarm dla ducha. Jorge Luis Borges przebił wszystkich: „Zawsze wyobrażałem sobie Raj pod postacią biblioteki”.

Kiedy przekraczamy próg biblioteki, trafiamy do oazy ciszy, skupienia i porządku (każda biblioteka próbuje uporządkować i usystematyzować świat...). W bibliotece czujemy się bezpiecznie. No, chyba że nas postraszą, jak w księżnicy klasztoru San Pedro w Barcelonie.

„Jeśli ktoś — głosi umieszczony tu przed wiekami przez bogobojnych mnichów — ukradnie książkę albo pożyczyci i nie odda właścicielowi, niech w jego ręku zmieni się ona w węża i go ukąsi. Niechaj dotknie go paraliż, a wszystkie członki niech mu odpadną. Niech skręca się w męczarniach, wołając o litość, niech jego cierpieniem nie będzie końca, aż wyda ostatnie tchnienie. Niech robaki niszczące

książki toczą jego wnętrzności, niczym śmiertelny czerw. A gdy przyjdzie godzina sądu, niech ognie piekielne spalają go na wieki wieków”.

Przerażający to napis, ale zapewne był skuteczny. Dzięki niemu wiele „białych kruków” ocalało i kolejne pokolenia czytelników mogą cieszyć się wspaniałymi zażytkami sztuki rękopiśmienniczej.

W nowym gmachu Biblioteki Narodowej w al. Niepodległości w Warszawie, gdzie cicho szemrze klimatyzacja i komputery, możemy posmakować uroku czytelnictwa. Właścicielom niewyłączonych telefonów komórkowych grozi — surowo — odebranie karty czytelniczej. I słusznie. Nie do pomyslenia bowiem jest, żeby w sanatorium dla umysłu coś nagle dzwoniło. Nie wolno też wносить do czytelnicy toreb, reklamówek, plecaków, jedzenia i napojów. Sztuka wymaga szacunku!



Miniatura
z „Sakramentarza
tynieckiego”
pochodzącego
z XI w.